

Dzieci mamy Sawickiej

Z rosnącym powodzeniem Teresa Sawicka — bardzo znana aktorka i mało znana reżyserka — matkuje adeptom sztuki aktorskiej. Słowa „matkuje” użyłem celowo. Czasem spotyka się taki rodzaj troskliwości i czulej reżyserii, niekiedy nawet z dodatkiem nadopieczności, o którym można rzec, iż jest „macierzyńska”. Nie jest to częste. Bywa pożądane i owocne w relacji: dojrzały twórca — aktor-ski zóttodziób.

Najnowszy wyczyn „mateczki Teresy” to przedstawienie dyplomowe we wrocławskiej PWST. Zaproponowała swoim szkolnym dzieciom zupełnie poważną grę w życie: od szkolnych figielków i pierwszych amarów po śmierć, a nawet krok dalej. Taką okazję stwarza sztuka Thorntona Wildera „Nasze miasto”. Zaspokaja ona budzące się w nas od czasu do czasu rodzinne sentymenty, tęsknoty do swoich prowincjonalnych gniazd, a także zapotrzebowanie na prostą refleksję na temat życia, przemijania, powtarzalności a zarazem wyjątkowości każdego z indywidualnych ludzkich doświadczeń.

Dzieci Sawickiej wdały się w mamę: wypadły czarująco, ujawniając bogactwo wdzięku, talentów i umiejętności. Mama zaś, jak to mama, uczyniła wszystko, by ukryć ewentualne braki i wady młodych. W rezultacie otrzymaliśmy świetny spektakl. Pulsuje życiem na każdym planie. Atrakcji — aż w nadmiarze, nie sposób za jednym razem dostrzec wszystkich szczegółów. Ale nie jest to nadmiar dający poczucie przesyty.

Nie wstydę się przyznać, że dzieci Sawickiej kilka razy mnie rozczuliły i wzruszyły, wielekroć ubawiły. Siłą rzeczy szczególnie uwagę moją pochłonięła para głównych bohaterów Emilki i Georga, granych przez Jolantę Fraszyńską i Adama Cywkę. Pani Jola znakomicie pokazała przepoczwarczenie się dziewczynki w kokieteryjnego podłołka, a następnie w pannę na wydaniu. Pan Adam przypomniał mi wszystkie moje własne perypetie towarzyszące pierwszym wyznaniom uczuć i dorzucił jeszcze trochę w przekomicznej a zarazem rozczulającej scenie oświadczeń. Uwaga

dyrektorzy teatrów, którzy chcecie wystawić „Romea i Julię”: wydaje się, że jest gotowa para wykonawców do obsadzenia w głównych rolach!

Podobali się także inni adepci. Dużo uwagi poświęciłem Robertowi Moskwie, grającemu drugoplanową postać Organisty. Jest to rola prawie bez tekstu. Niewiele tu jest do zagrania. W postać trzeba się wcielić. Moskwie udaje się bezsłownie wyrazić psychikę i los tego człowieka o złamanym życiu. Jest to osiągnięcie. Na inne trudności trafiła Sylwia Głaszczyk i kilku innych adeptów, grających ludzi starych. Nie idzie im to całkiem bezproblemowo. Pani Głaszczyk z naturalnymi „oparami materii” (młodziotka psychika i także ciało) zмага się w tym gronie najsukuteczniej.

Zakończyłbym apelem do teatrów, żeby zwróciły uwagę na nowy rocznik kończący wrocławski Wydział Aktorski. Sam jednak nie wiem, czy jest do kogo się zwracać. Wszak teatry właśnie umierają jako bezsensowna ofiara na stosie polskich reform.

TADEUSZ BURZYŃSKI